

21 XI. Mniej więcej już się ustalił mój nowy tryb życia. Wstajemy obydwaj z Włodkiem (bo i on razem ze mną rozpoczął stałe jazdy do Warszawy, tylko nie z grupą biblioteczną, ale muzealną) rano o 4<sup>15</sup>. W godzinę później siadamy do śniadania. O 5<sup>55</sup> odchodzi z Milanówka pociąg EKD. O 6<sup>1/2</sup> jesteśmy w Pruszkowie. Jest jeszcze zupełnie ciemno. Pół godziny spędza się w sklepiku, prze-fasonowanym w związku z okolicznościami na kawiarnię. Tu (za słoną cenę) można się zaopatrzyć w najsmaczniejsze i najwykwintniejsze prowianty, tu się załatwia rachunki, tu się słyszy najnowsze wiadomości, tu się spotyka coraz to nowych znajomych (ci i owi bowiem z powołanych i zainteresowanych teraz dopiero ściągają na wezwania, rozesłane przed dwoma tygodniami). O siódmej następuje zbiórka na rynku. Każda grupa skupia się osobno. Przez pierwsze dni angażowano i kobiety, później jednak Räumungsstab zakazał im wyjazdu do Warszawy, od dnia mojego przybycia zespoły są wyłącznie męskie. Bardzo to w grupach bibliotekarskich pogorszyło stosunek elementu zawodowego do pomocniczego: Gryczowa, Rothertowa, Stanisławska, Maria Rutkowska, które uczestniczyły w pracach pierwszego tygodnia, musiały się usunąć. W grupie Biblioteki Uniwersyteckiej — wobec równoczesnego wycofania się Lewaka — zostali z bibliotekarzy tylko Makowiecki i Stanisław Herbst, w Narodowej sytuacja trochę pomyślniejsza. Siły pomocnicze rekrutują się z żywiołów najrozmaitszych: tramwajarzy, kolejarzy, szoferów, urzędników magistrackich, handlowców, nie-



określonych inżynierów. Wyjątkowo spotyka się wśród nich ludzi bardziej odpowiednio kwalifikowanych (jak np. Wł. Rogowskiego, przyrodnika i pedagoga, Hammera, ekspedienta księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego, albo Piaseckiego, który był współpracownikiem pani Wandy Dąbrowskiej w jej poradniku dla bibliotek). Przeważna ich część nadaje się tylko do robót technicznych i została zaangażowana *faute de mieux*, przy czym podobno Podwiński stosował jakiś klucz społeczno-magistracki. Lepszy jest skład grupy muzealnej. Jest tam przede wszystkim większa liczba fachowców (Walicki, Sienkiewicz, Gościmski, Mieszkowski, archeologowie: Sawicki, Jażdżewski, Drewko i Antoniewicz), sporą zaś część personelu pomocniczego stanowią artyści (m.in. Karny i Jan Cybis) i uczniowie Akademii Sztuk Pięknych. Po sprawdzeniu listy obecności rozpoczyna się czekanie na samochody. Czasem kilkunastominutowe, nieraz zaciąga się ono na godzinę i dłużej. Lorentz i kierownicy poszczególnych grup odbywają perypatetyczne konferencje z komisarzami niemieckimi i urzędnikiem Räumungsstabu dr Rodigiem. Nie mają one jednak wiele wpływu na bieg rzeczy. Volksdeutsche, właściciele rekwirowanych pojazdów, najwidoczniej sabotują całą akcję, wynajdując tysięczne powody spóźnienia lub zupełnego niezjawienia się. Rzecz oczywista, że mają ochotę angażować się do mniej oficjalnych, ale bardziej lukratywnych imprez (które bynajmniej się nie skończyły po ostatnich ogłoszeniach władz warszawskich). Czekają więc, drepcząc w kółko po błocie lub zlodowaciałym śniegu. Bardziej zmarznięci kryją się po klatkach schodowych pobliskich domów, wystawiwszy przed bramami odpowiednie czujki. Wreszcie o jakiejś porze (mało kto zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, o jakiej, bo z powodu obawy tzw. ostrej rewizji przy Räumungsstacie mało kto ryzykuje zabieranie z sobą zegarka) nadjeżdżają oczekiwane auta (albo też robi się tak późno, że trzeba uznać, iż jazda do Warszawy nie miałaby już sensu). Dopiero kiedy auta są na placu, można zadecydować, ile ludzi z każdej grupy pojedzie: auta bowiem mają różne rozmiary i różną nośność. Czasem są to dwa auta odrębne, czasem tylko jedno z przyczepką. Po dłuższym namyśle kierowników i komisarzy wydane zostają decyzje. Przeważnie do Muzeum Narodowego jeździ ok. 40 osób, do każdej z dwu bibliotek po 20 z okładem; razem z (mniejszą) grupą archiwalną wyjeżdża około 100 osób. Rozpoczyna się gwałtowne (i w grupach bibliotecznych na ogół bezładne) włożenie na samochód. Z trudem się ustala, ile ludzi weszło, i wreszcie wehikuł rusza. Jest przeważnie rozklekotany, raz po raz coś w nim „nawala”. Umieszczeni w przyczepce marzną, bo jest otwarta; ci, co mieli szczęście być skierowanymi do wozu motorowego, są chronieni od wiatru przez brezent, który pokrywa jego część przednią (a czasem nawet całość), ale za to, o ile im natura dała wzrost wysoki, muszą stać ze schyloną głową i tłoczą się jak śledzie w beczce. Pierwsza „wacha” przed miastem kontroluje prawo jazdy samochodu. Przy Räumungsstacie (który się mieści w domu firmy wódczanej Kirchmajer i Marczewski, zachowały się nawet wielkie napisy na nim, jedna tylko litera M opadła o piętro niżej od reszty) następuje czekanie na przydział tzw. „Beglei-



terów”, tj. konwojentów (każda grupa dostaje swojego). Czasem ma tu miejsce i zmiana samochodu: ten, co nas przywiózł z Pruszkowa, odjeżdża, znalazłszy pretekst, który musi być uznany; trzeba się starać o inny; tu mają pole do działania komisarze, którzy przybywają samochodem osobowym. Wczoraj przeszło godzinęśmy w ten sposób przeczekali (stoczyłem przez ten czas wielką dysputę z Łodyńskim o 18-ym wieku). Räumungsstab wydaje dla każdej grupy zbiorowe przepustki, w których wymieniona jest tylko liczba osób. Sprawdza je (nie kontrolując zresztą rachunku) druga „wacha” o 1/2 kilometra dalej. Przyjeżdża się na miejsce pracy mniej więcej między 8 1/2 a 10 (mało kto znowu wie dokładnie kiedy). Wyziębieni, zmęczeni tłokiem, wchodzimy do budynków bez okien, w których panuje zimno i przeciągi. Nawet tak błaha czynność jak wiązanie książek sznurkiem w paczki nie posuwa się w tych warunkach szybko. Zadanie bibliotekarzy polega, naturalnie, przede wszystkim na wyborze materiału do pakowania. Powinien on być robiony rozumnie, planowo i szybko, nade wszystko szybko, bo na długość trwania ewakuacji nie można liczyć. Pierwszym terminem wyznaczonym przez Geibla był 20 XI. Nasze przepustki wydane są z datą 1 XII jako terminem ważności. Teraz się mówi o prolongacie do 20 XII. Czy będzie jeszcze dalsza? O tym będą mieli coś do powiedzenia, oczywiście, przede wszystkim bolszewicy. O tym, że czas nagli, a intencje Niemców są konsekwentne, mówią ostatnie losy archiwów. Otóż (jak nb. dopiero dziś się dowiedziałem) w tym samym mniej więcej czasie co Archiwum Akt Nowych na Rakowieckiej spalone zostały również Archiwum Główne na Długiej, Archiwum Skarbowe na Podwalu, Archiwum Miejskie w gmachu Arsenалу: krótko mówiąc, wszystkie archiwa warszawskie, które wyszły cało z Powstania. Spalono nawet wielką część ksiąg hipoteki. Wszystkie więc pisane dokumenty dawnej i nowej państwowości polskiej, wszystkie naczelne dokumenty dawnej i nowej kultury politycznej, społecznej i gospodarczej, jakie tylko w stolicy mogły się być nagromadzić, przestały istnieć. Ocalały z archiwaliów te tylko, które dawno były przeniesione na Fort Bema. Zapewne, są to rzeczy najcenniejsze (metryka Koronna przede wszystkim), ale jakież stanowią ułamek w porównaniu z zasobami unicestwionymi. W tym samym też czasie mniej więcej została spalona Biblioteka Krasieńskich: pożar jej bowiem wrześnieowy objął tylko część mieszkalną, a od pocisków w czasie akcji bojowej ucierpiała tylko niewielka część magazynu; całą ogromną resztę wypalono — od piwnic — dopiero wówczas. Poszła wtedy z dymem cała rewindykowana w r. 1923 kolekcja załuszcianów, wszystkie rękopisy zarówno Krasieńskich, jak Biblioteki Narodowej, całożyciowe dzieło Kazimierza Piekarskiego.<sup>2</sup>



Chodzi o to, żeby je wybrać właściwie. Do tej właśnie roboty ja stanąłem, rozpoczynając przegląd półek od sali 4. Zasada dobierania książek według treści, którą w dawniejszych czasach w Bibliotece stosowano, a której — na szczęście — późniejsze czasy nie zdołały zatrzeć całkowicie, umożliwia kwalifikowanie materiału całymi grupami, dzięki czemu robota się posuwa dosyć szybko. Ktoś mi przyświeca świeczką, a ja zaznaczam, które książki mają być zabrane przez postawienie ich grzbietem do góry. Naturalnie, ocena musi być powierzchowna, ale inaczej nie byłoby do osiągnięcia konieczne tempo. Książki najcenniejsze pakuje się do skrzyń (tych jednak jest w BUW bardzo mało, więc się stosuje wysoce surowe kryteria), z innych robi się wiązki, żeby je potem ułożyć do worków, jeszcze inne ma się (*horribile dictu*) wprost w takich wiązках ładować na samochody i do wagonu. Przy drzwiach sieni bibliotecznej (naturalnie stale otwartych i pozbawionych szyb) leżą stosy takich wiązek, wśród nich ozdobnie oprawne, albumowe i ilustrowane wydawnictwa ze zbioru tołoczano-

wowskiego! Widok drapiący po skórze. Biblioteka Narodowa przysyła podobnie wiązane tomy bezcennych kompletów gazet polskich. Nie rozumiem, dlaczego tak się robi. Prawda, zarządzenie „oszczędnościowe” w tym duchu zostało wydane przez Abba. Ale worki są przeważnie dostarczane z funduszków polskich i — jak słyszałem od Podwińskiego — mogą być dostarczane bez ograniczeń.



np. sfatygowany samochód Volksdeutscha-sabotażysty tak się rozstroił, minąwszy Wolę, że już dalej ruszyć nie mógł. Trzeba było szukać innego, który by go holował. Nie bylibyśmy zdążyli na ostatni pociąg EKD, gdybyśmy — za radą kogoś z miejscowych — nie wysiedli o dwa km przed Pruszkowem i nie chwycili tego pociągu w Tworkach. Któregoś z poprzednich dni (ja wtedy nie pojechałem) kilkadziesiąt osób z powodu opóźnienia musiało nocować w ratuszu pruszkowskim. Przy takich przygodach rzadko dobija się do Milanówka wcześniej niż o godz. 6-ej. My dziś z Włodziem dobiliśmy dopiero o 8-ej wieczorem. Kolacja (drugi ciepły posiłek po śniadaniu wypitym o 5<sup>15</sup> rano), kilka notatek, jakiś list, i już trzeba się kłaść, żeby przespać przynajmniej 4 godziny na dobę. Ale ma się przynajmniej uczucie, że się coś ratuje, że się robi coś koniecznego i ważnego.

22 XI. Makowiecki przedstawił mi dzisiaj myśl bardzo ciekawą, śmiałą, oby i szczęśliwą. Treść jej następująca. Droga wywiezienia do Niemiec da się uratować w najlepszym razie drobną tylko część zbioru BUW. Abb mówił o „kontyngencie” 100 000 tomów. Może się tę liczbę przekroczy, może się do niej nie dociągnie. Reszta zapewne się stanie pastwą ognia lub dynamitu. Ogień jednak czy dynamit będzie przypuszczalnie podłożony z parteru i może nie ogarnąć zamurowanej piwnicy. Otóż w Bibliotece jest wśród wielu piwnic taka jedna (mieścił się w niej skład materiałów gospodarczych), która tak jest od reszty wyodrębniona, że kto planu budynku nie zna, może się jej istnienia nie domyślić. Ma ona jeden tylko świetlik i jedne drzwi, które nietrudno byłoby zamurować. Znaleźć w niej może pomieszczenie kilkadziesiąt tysięcy książek. Korzystając z wyjazdu Abba i z tego, że Himpel nie siedzi w Bibliotece stale, można zacząć tam przenosić książki, które nie odpowiadają kryteriom wyboru do wywiezienia, a które mogłyby utworzyć wielką bibliotekę podręczną niezbędną do rychłego uruchomienia studiów uniwersyteckich po wojnie. Od razu dzisiaj rozpoczęto wykonywanie tego zamysłu, przenosząc do podziemia (bardzo chytrze) książki z czytelni, które przez Abba zostały zakwalifikowane do zabrania; po nich ma pójść komplet „Kuriera Warszawskiego”, niektóre czasopisma naukowe, zbiorowe wydania autorów z różnych literatur, źródła historyczne i kompendialne dzieła naukowe. Plan nie jest łatwy do wykonania: część przynajmniej pracowników musi być wtajemniczona; przez rozgadanie rzecz może łatwo dojść do wiadomości Himpla lub Abba, którzy się jej mogą sprzeciwić, zamurowanie może natrafić na trudności techniczne. Ale jeśli się uda te wszystkie przeszkody pokonać, może być, że i cel ostateczny zostanie osiągnięty, tj. — że się ocali o kilkadziesiąt tysięcy książek więcej. Oby! — Nowy ten plan wprowadza modyfikację także do mojej pracy: lustrując książki na półkach, wybieram od dziś nie tylko takie, co powinny być wywiezione, ale i takie, co się nadają do zniesienia *in fundum*. (Wyrzucam je po prostu na ruszty pięter magazynowych.) Ten plan mimo sceptycznych zastrzeżeń, jakie we mnie budzi — daje mi nową podniecie do szybkości.



Przebiegam też wzdłuż półek prawie gwałtownie. Zdaję sobie sprawę z tego, że muszę popełniać wiele błędów, ale wiem przynajmniej, że wiele ogarniam, a więc może i ratuję. Może: niestety, tylko tyle da się na pewno powiedzieć: boć jeśli plan piwniczny Makowieckiego budzi niejedną wątpliwość, ileż ich wzbudza wywożenie książek do Niemiec. Jadą bez opakowania lub w bardzo słabym. Bóg wie, przez kogo będą wyładowywane i pod jaką znajdą się opieką. Teren, na którym będą, nie jest ubezpieczony ani od bombardowania, ani od pożaru. Kto wie, czy i walki frontowe do niego nie dotrą. A jeśli nawet do końca wojny wszystko się ułoży pomyślnie, ileż trudności będzie potem z rewindykacją?! Naprawdę, nasz obowiązek jest tragiczny. Ale przecież jest to obowiązek i niepodobna się od niego uchylić. — Strzępy tych myśli przebiegają mi przez głowę, kiedy się na ławeczce wspinam do górnych półek albo na rozpostartym worku pełzam przy dolnych. Przez północno-wschodnie okna widzę Wisłę i mosty z zerwanymi przęsłami. Raz po raz od strony Pragi odzywają się strzały bolszewickich karabinów maszynowych. Uprzytomniam sobie, jaką ta biblioteka jest całościową moją miłością, i płaczę. Płaczę dosłownie, jak nie płakałem patrząc na okropne ruiny Warszawy. — A napatrzyłem się tych ruin już dosyć i różnych.



24 XI. Dziś punktualny wyjazd (o 7-ej rano) i wczesny powrót (o 4-ej), bo dostaliśmy samochody wojskowe i — wedle zapewnienia naszych komisarzy — odtąd tylko takimi mamy jeździć. Bardzo radosna wiadomość, bo błoto i chlapanina czynią w tych dniach długie przebywanie na „świeżym powietrzu” (zwłaszcza w Pruszkowie!) szczególnie przykrym. — Jestem silnie zaziębiony (wszyscy po kolei przez to przechodzimy). Dr Walawski, do którego się zwróciłem o lekarstwo, zalecił mi „uderzeniową” kurację z sulfamidu (20 pastylek w trzech dniach). Przydałoby się więcej spać, ale przekroczenie „normy” 4 godzin udaje się z trudem. Dziś i do niej nie dociągnąłem. „Ничего” — mówię do siebie wierszem Niekrasowa, jak za młodych lat — „Гони во все лопатки, — Труден путь, да легок конь.” Miałem dziś możliwość dłuższego porozmawiania z oblężonym zazwyczaj przez ludzi Stanisławem L. Ma on — jako kierownik ewakuacji dóbr kulturalnych ze strony polskiej — do rozporządzenia samochodów osobowy (którego szofer jest zarazem „Begleiterem”) i korzysta z tego przywileju, jeżdżąc po mieście i ratując rękopisy naukowe i artystyczne, które jeszcze ocalały. Mnóstwo ludzi zgłasza mu swoje dezyderaty i wiadomości, które stopniowo są uwzględniane w grupach dzielnicowych. W tych dniach był na Mokotowie. Odnalazł szczęśliwie i wywiózł wszystkie rękopisy Romana Pollaka. Niestety, dom przy ul. Malczewskiego 1, w którym mieszkał Podhorski-Okolów, okazał się całkowicie zburzonym. Spalony znów został dom przy ul. Narbutta 37, w którym mieszkał Patkowski i w którym prócz jego własnych obfitych materiałów znajdował się także odpis maszynowy listów Żeromskiego i listów Prusa do Oktawii Żeromskiej. Na Polnej dało się odkopać w dwóch wyprawach wszystkie rękopisy Marii Dąbrowskiej. Wczoraj pojechał S. L. na Bracką, gdzie w domu pod nr 6, w mieszkaniu doktorostwa Mayów, ulokowany był manuskrypt pracy Turyna o Pindarze i dwa przepiękne



(kolorowe!) obrazki Noakowskiego, stanowiące własność p. Trzcińskiej. Dom własnie płonął. Klatka schodowa wprawdzie nie była jeszcze przez ogień ogarnięta i do mieszkań po jednej stronie można jeszcze było wejść, ale po tej, o którą chodziło, waliły się już belki. W najbliższych dniach ma S. L. być na Szczygłej, potem na Żoliborzu, aby przeszukać piwnicę Artura Górskiego. Był w niej co prawda już raz i całą walizę materiałów przywiózł, ale to jest tylko część tego, co tam zostało zakopane (Artur sam tu przed kilku dniami przyjechał z Kielc i zawartość walizy badał, nie znalazł w niej m.i. moich rzeczy).

25 XI. Warszawa stała się dla mnie rodzajem narkotyku. To samo jest z Włodkiem, a bodajże i z innymi naszymi kolegami. Jak w toń rzuca się w nią człowiek, rad, że może przez tyle godzin nie myśleć o czym innym. Istniejemy jakby poza obrębem rzeczywistego życia. Z rzadka tylko dolatują nas jego odgłosy — w postaci np. plakatów wzywających do „dobrowolnej” służby w pomocniczych formacjach wojska niemieckiego albo w postaci wieści o nowych łapankach. 22 XI była wielka łapanka w Pruszkowie i Grodzisku, 23 XI w Brwinowie, dziś w Milanówku. Obstawiono Drogę Królewską i przejazd kolejowy. Kolejka do Podkowy stanęła. Duża kolej przyjmowała pasażerów tylko do Pruszkowa. Patrole żandarmerii chodziły po domach, sprawdzając dokumenty. Zaszedł taki patrol i do „Zacisza”. Obydwaj z Włodkiem byliśmy od rana w domu (ja z powodu zaziębienia, on dla załatwienia korespondencji), co gorsza, mieliśmy gości bez żadnych legitymacji pracy: mniej więcej bowiem równocześnie przyszedł do mnie Kazik Kozłowski, a do Włodków p. Zofia Lewakowa. Na wieść o żandarmach trzeba ich było czym prędzej umieścić na strychu. Na szczęście, strychem się nie zainteresowali. (Później przychodził drugi patrol, dał się jednak już przy furtce przekonać, że miał poprzedników.)

26 XI. We wczorajszej łapance w Milanówku zagarnięto m. i. Walickiego — mimo legitymacji z Räumungsstabu, która powinna była bezwzględnie go chronić. — — Stanisław L. był na Szczygłej 6: okazało się, że prawa strona domu jest zburzona, a lewa wypalona, stoi tylko klatka schodowa. Był też na Żoliborzu i odkopał drugą paczkę materiałów mickiewiczowskich Artura Górskiego. Jak wnoszę z opisu, jest tam i moje<sup>3</sup> opracowanie I-ego tomu poezyj do wydania sejmowego.

28 XI. Przeżyłem osobliwą przygodę, która rzuca tzw. snop światła na mankamenty naszej organizacji. Oto wczoraj po prostu „zapomniano” mnie i jeszcze jednego pracownika, nazwiskiem Michalczyk, w magazynie BUW i samochód z całą grupą (a raczej z dwiema, bo i grupa Biblioteki Narodowej pracowała wczoraj w Uniwersyteckiej) spokojnie sobie odjechał, zostawiwszy nas swojemu losowi. Po dłuższej dopiero chwili, uderzeni ciszą i wzrastającym zmrokiem (żaden z nas nie miał zegarka), zorientowaliśmy się w położeniu. Bądź co bądź to jest front, trzeba się więc było zameldować najbliższemu posterunkowi wojskowemu, zakwaterowanemu w domu porektorskim. Trafiliśmy na żołnierzy pi-

\* Wyraz ten autor skreślił, przygotowując tekst do prawdopodobnej publikacji.



janych, ale — na szczęście — ludzkich i wesołych, którzy potraktowali nasz wypadek jako komiczny, dali nam posiłek i nocleg i przez kilka godzin zabawiali nas rozmową; mogło być, oczywiście, znacznie gorzej. Rzecz jednak najosobliwsza to to, że naszej nieobecności nikt nie zauważył, dowiedziano się o niej dopiero dziś rano, kiedy szwagier Michalczyka zaniepokojony przybiegł z Pias-towa, a Włodzio zaalarmował Lorentza, a i wtedy znalazł się bałwan (niejaki Ziemiński), który upewniał wszystkich, że musi tu być jakieś nieporozumienie, bo on poprzedniego wieczoru... jechał ze mną z Pruszkowa do Podkowy Zachodniej. Nie trzeba było długich badań, żeby rzecz wyjaśnić: Stanisław Herbst, który wczoraj stał na czele grupy uniwersyteckiej (przemili zresztą człowiek, ale pozbawiony talentów dowódcy), powierzył sprawdzenie listy obecności p. Hammerowi (także miłemu człowiekowi, ale z tym samym defektem), a ten załatwił sprawę... na oko! Łodyński, na którego również spada odrobina odpowiedzialności, bo i on był w BUW i osobiście całą pracą kierował, z przesadną uroczyścią mnie dziś przeproszał (acz przesadnie szybko potem przeszedł na dowcipkowanie z całego, bądź co bądź wstydliwego, wypadku). Dla mnie przygoda ta okazała się w sumie ciekawa i pouczająca. Żołnierze (wehrmachtowcy), którzy nas tak gościnnie przyjmowali, to przeważnie 17—18-letnie chłopaki, do wojny jednak już zniechęcone (byli w jakiejś rozbitej jednostce, „przeformowywano” ich niedawno w Reichu; jeden z nich już się nabawił ischiasu, drugi z goryczą wspomina, że jego ojciec od r. 1939 przez cztery lata wojował na wszystkich frontach i wrócił do domu jako inwalida). Są umiarkowanie liberalni: Polacy są dla nich „gute Leute” (z wyjątkiem powstaniowych „Banditen”), Niemcy też (z wyjątkiem SS); przywódcom swoim wróżą „kaputt” i podejrzewają ich o egoistyczne interesy, ale wszyscy w końcu się zatrzymują na jakimś frazesie wpojonym przez propagandę oficjalną (że wojnę wywołał „der Jude” albo „die Kapitalisten” itp.).



29 XI. Od przedwczoraj jest już z powrotem Walicki. Wyreklamowano go, ale dwa dni upłynęły, nim reklamacje okazały się skuteczne. Trzy instancje nie uznały ważności jego legitymacji (Räumungsstab już nie istnieje — powiedziano w jednej, w drugiej: Räumungsstab nie ma żadnego znaczenia, w trzeciej: termin świadectwa upływa za trzy dni, więc nie ma co się z nim liczyć). Pognano go do obozu (kulawość nie przydała mu się na więcej niż zaświadczenie), pchnięto go kolbą, kazano mu kopać latrynę. Spał na zimnej pryczy, unikając zawszonego siennika. — — Wczoraj z kolei była urządzona wielka łapanka w Skierniewicach. Makowiecki, który właśnie wracał po dwudniowym pobycie w domu do Pruszkowa, spóźnił się tak, że o 10-ej w. dojechał dopiero do Milanówka. Mając w dalszej perspektywie nocleg na dworcu pruszkowskim, wołał tu wysiąść i o pół do jedenastej zjawił się jak widmo koło mojego siennika. Zainstalowałem go na leżaku w przedpokoju, gdzie — jak powiada — było mu 1000 razy lepiej, niżby było w Pruszkowie. — — Powrót Makowieckiego poprawia sytuację w Bibliotece Uniwersyteckiej, która w ostatnich dniach była smętna, ile że T., odszukawszy swoje papiery i futro „zdobyte” we wrześniu, opuścił Pruszków, oświadczywszy, że tamtejsze warunki mu nie służą. L. ani się nie zjawił, ani nie przysłał żadnego listu. Dziś zresztą mamy dzień przymusowego wypoczynku, bo Niemcy mają koło 11-ej wysadzać jakiś budynek warszawski w powietrze, a później nie warto już jechać.

30 XI. Przejeżdżaliśmy dziś przez Towarową i Al. Jerozolimskie. Rozumie my teraz, dlaczego nas wczoraj do Warszawy nie puszczono. Wysadzona została w powietrze poczta na Żelaznej i Dworzec Główny. Z Dworca zostało kłębowisko żelastwa i gruzu, nad którym się wznosi coś w rodzaju olbrzymiej gilotyny

Dziś zresztą naczelną pracą w Bibliotece jest ładowanie książek do samochodów i przewożenie ich na Dworzec Zachodni, gdzie czeka przygotowany wagon. BUW jest stacją przeładunkową i dla książek z Biblioteki Narodowej. Przywieziono ich dużo w dniach poprzednich. Niestety, ciągle jeszcze mnóstwo rzeczy idzie bez worków, a tomy gazet nawet bez sznurków. Nie mogę tego wytrzymać i „odwalam Rejtana” przed Łodyńskim, wołając, że wieki nam popamiętają, żeśmy w ten sposób się obchodzili m.i. z pierwodrukami dzieł Sienkiewicza (właśnie u nóg moich leżał zmiętoszony tom „Słowa” z r. 1900). To poskutkowało. Ale ile książek już tak bez zaopatrzenia poszło! — — Nie tylko z tych powodów ściska mi się często serce przy pracy w Bibliotece Uniwersyteckiej. Raz jeszcze zdumiewam się jej bogactwem. Zdawałoby się, że znam ją tak dobrze, od tylu lat, a przecie! Nigdy, co prawda, nie przeglądałem jej zasobów tak jak teraz, półka po półce, szafa po szafie. Tyleśmy stracili, to jednak, co tutaj zostało, świadczy jeszcze, że nie byliśmy narodem marnym. A więc chyba nie powinniśmy być przekłęci.



7 XII. Największe przykrości naszej grupy w BUW to brud i zimno. W magazynie pełno odłamków szkła z rozbitych okien. Worki z piaskiem, ongi ustawione dla obrony przeciwlotniczej, od wilgoci się porozklejały (są to worki papierowe), wystarcza zresztą drobna nieostrożność, żeby je rozedrzeć. Sypie się więc i piasek wszędzie: na pudła katalogowe, w książki, na rozsypane papiery. O kurzu nie ma co i mówić. Dziś rano na książkach stojących blisko okien zastaliśmy grubą pokrywę śniegu. Ptaki wśród półek bibliotecznych stały się już dla nas zwykłym widokiem. Pracuje się, o ile można, w rękawiczkach. Ale czasem trzeba je zdjąć i wtedy ręce pokrywają się czarnym subtelnym pyłem — którego, naturalnie, nie ma czym umyć. Piasek wsypuje się nieraz aż za koszulę. Ubranie okapuje się od góry do dołu stearyną: trudno bowiem manewrować równocześnie i świecą, i książką, a nawet kiedy się ma pomocnika — „lampadofora”, trudno tej przykrości uniknąć, ile że przeciągi wyprawiają z płomieniem nieobliczalne harce. Raz po raz trzeba sięść na brudnej ławce, a nawet położyć się na rusztowej podłodze, żeby zobaczyć książki na najniższych półkach, nie zawsze przy tym się pamięta o rozesłaniu czystego worka. Wychodzi się z uczuciem obrzydliwego

utyłania. Dotąd, na szczęście, pogoda była łaskawa. Z małymi wyjątkami mieliśmy dotąd bardzo łagodną jesień i temperatura rzadko spadała poniżej zera. Dzisiejszy poranny przymrozek, krótki zresztą, dał nam przedsmak grozy, jaka nas czeka, jeśli nastąpi surowa zima. Czegoż już teraz na siebie nie wkładamy! Mój ubiór składa się z dwóch kompletów bielizny, trzech swetrów, dwóch kamizelek, marynarki i palta. Nogi uzbrojone są w buty turystyczne i 3 pary skarpetek. Nie jest się w takim odzieniu bardzo zgrabnym, ale bynajmniej też nie jest się przegrzanym. Zwłaszcza że ani się nie ma ciepłego napoju, ani ogniska. (Przed paru dniami zaryzykowałem nawet wzięcie termosy, niestety, zaraz się stłukł, a o dostaniu nowego nie ma teraz mowy.) — — Dzisiejsza praca w BUW była wyjątkowo przykra: było tylko dwóch bibliotekarzy (Kossonoga i ja) na 23 „siły pomocnicze”, przy tym plątał się ciągle Abb, wszystko krytykując (trzeba przyznać — częściowo słusznie, ale jakże robota ma dobrze iść przy takiej dysproporcji pomiędzy siłami fizycznymi a umysłowymi!).

Dzień jest

fatalny pod każdym względem. Mieliśmy się o godz. 14 1/2 spotkać z grupą muzealną na rogu Nowego Świata i Al. 3 Maja. Oni przyszli wcześniej i dłuższą chwilę czekali. Wtem padł granat bolszewicki (sprowokowany, zdaje się, przez przechodzącą kolumnę Wehrmachtu) i ranił odłamkami aż siedmiu, w tym trzech ciężko.



(Wśród lżej rannych jest Morawiński, kustosz domu Baryczków.) Wieziemy im z Biblioteki nosze. Nie ma ich, niestety, kto opatrzyć. Krwawią aż do Pruszkowa, gdzie dopiero znajdują pomoc lekarską w szpitalu. — — Co za ironia życia, że w tym właśnie dniu zakwitły na dziedzińcu uniwersyteckim róże. Pracownicy ofiarowali mi jedną z nich. Umieściłem ją na mogiłce Krampery. — — Rzecz ciekawa, że nawet w dniach tak ponurych, jak dzisiejszy, jasnymi chwilami są rozmowy w samochodzie. Często w nich biorę udział (znany jestem w swojej grupie jako jeden z największych gadułów); dziś tylko się przysłuchiwałem, jak jeden z kolejarzy (mechaników) rozwijał tezę o potrzebie wielostronności i o tym, że dobry naprawdę specjalista da sobie radę i z robotą spoza swojej specjalności (głupio kontrował mu jakiś „inteligent”, przytaczając niestosowne argumenty z dziedziny artystycznej), a potem jakiś skarbowiec krytykował przedwojenne ideały pracy (z długim wysiadywaniem w biurze itp.), przeciwstawiając im potrzebę szerszego rozglądu w świecie. Rozmowy takie dają pokrzepiające przeświadczenie, że przecież dwudziestolecie drugiej Rzeczypospolitej nie zostało w dziedzinie społeczno-wychowawczej całkowicie zmarnowane!

10 XII. Zostaję w Milanówku. Włodzimierz z Jurkiem A[ntoniewiczem] jadą do Warszawy, gdzie mają dzień bardzo ciężki. M. i. przechodzą przez dokładną rewizję. Widzą, jak w jednej z grup robotniczych jedną z kobiet (bo sprowadzane teraz znów są kobiety) do naga rozebrano. Szofer, wystraszony wczorajszym wypadkiem, jechał przez miasto okólnymi drogami, bardzo długo, a o grupie Biblioteki Narodowej w ogóle zapomniał.

11 XII. Dziś w oczach moich zastrzelono przy rewizji człowieka. Był to podobno szofer, który skupił i ukrył w samochodzie dużo zakazanych „ciuchów”. Wyśledził je bystrooki kapitan Schultze, który osobiście dziś rewizją kierował. Bito go naprzód gumową pałką po głowie, potem — na rozkaz Schultzego — odprowadził go jeden z żandarmów trochę w bok i z bliska strzelił do niego. Krótki, suchy trzask, i już po życiu człowieka. Padł bez drgnięcia, jak skoszony. Na twarzy miał gruzły zakrzepłej krwi z wcześniejszego bicia, struga świeżej sączyła się z głowy. — Naszym szabrownikom odebrano tylko całą ich „zdobycz”, jednego tylko częściowo rozebrano, kazać mu spuścić spodnie i dolną bieliznę. — — Trzej ciężiej ranni w wypadku 9 XII wczoraj zmarli. — — Fatalne wiadomości i w Bibliotece. Pierwszy nasz transport książkowy, na który składały się dwa wagony od Zamoyskich, dotąd jeszcze nie doszedł do miejsca przeznaczenia (tj. Görbitsch na Dolnym Śląsku). Dwa dalsze doszły, ale trzy ostatnie z powodu braku środków transportowych zostały wyładowane... na stacji kolejowej i czekają dalszych losów. Komunikuje mi te wiadomości Makowiecki, który je ma od Himpla. A tymczasem Abb zamiast pilnować sprawy na tamtym terenie pęta się tutaj, zajmuje się lekturą dla robotników w Rzeszy i zarabia sobie najwidoczniej na krzyż żelazny, pobierając przy tym diety frontowe. — — Nie ukrył się przed nim sekret piwnicy. Wpadł naprzód we wściekłość i zakazał bezwzględnie dalszego znoszenia książek na dół. Dziś — w sposób znamienny



dla chimeryków — wdał się z Makowieckim w rozmowę na ten temat. („Toż to najniebezpieczniejsze miejsce Biblioteki — mówił — bo żołnierze będą tu szukać schronu.” — „Ale jeśli je zamurujemy, może go nie zauważą.” — „A nie możemy ich najlepszego schronu pozbawiać.” — „W kotłowni jest lepszy.”) Rozmowa się zakończyła bez konkluzji. — — Ukończywszy przeglądanie sal z najważniejszymi polonikami (4,4g, 2g) i mniejszych skupień polskich w salach 13, 17 i 18, a także pozostałych części zbioru tołoczanowskiego, przystąpiłem w tych dniach do rozbierania wielkiej barykady okiennej w pokoju Chudka. Wylazło z niej mnóstwo cennych książek (druki XVI-wieczne, załusciana, rzadkości, rzeczy wypożyczone z innych bibliotek), niestety, w stanie częściowo bardzo już żalonym. Jeszcze żałośniej wygląda resztki biblioteki Towarzystwa Naukowego Warsz., ustawiona przy oknach parteru magazynowego, narażona więc na najgęstsze opady kurzu i najobfitsze zasy pyłowe. — — Grupa pracowników z Biblioteki Narodowej, zapomniana wczoraj przez szofera, poszła pieszo na „wachę”, dostała się do jakiegoś przypadkowego samochodu, który ją zawiózł do Ożarowa, i tam zanocowała.

13 XII. Od kilku dni jeździ z nami do Warszawy jeszcze jedna grupa. Ma ona ewakuować Muzeum Zoologiczne. Na jej czele stoi Feliksiak. Wobec bolesnego doświadczenia z 9 XII jeździmy od dzisiaj już z lekarzem i apteczką. — — Nadchodzą lepsze stosunkowo wiadomości o naszych transportach: pierwszy wagon dotarł już do Görbitsch, o drugim nic nie wiadomo (ale ten zawierał rzeczy mniejszej wartości); o dwu dalszych jest pewna wiadomość, że doszły; o trzech ostatnich nie wiadomo nic.

14 XII. Mróz. Niewielki, co prawda, ale już i przy takim praca bardzo utrudniona. Ręce marzną boleśnie. Na szczęście, od kilku dni mamy w BUW stolarza, który zainstalował (w czytelni rękopisów na parterze) piecyk żelazny. Jest więc się gdzie rozgrzać i jest gdzie rozgrzać flaszkę z kawą. — — Rozpocząłem pracę nad rossikami i — raz jeszcze — oszołomiony jestem bogactwem Biblioteki. Bo i ten dział jest imponujący.

15 XII. W grupie muzealnej jechał dziś, wyjątkowo zaangażowany, niejaki dr Kaszyn. Dzięki przypadkowemu obrotowi rozmowy dowiedziałem się od niego, że Miriam umarł w Warszawie między 15 a 18 X w szpitalu przy ul. Żurawiej 31. Pod koniec września ktoś z personelu szpitala zauważył siedzącego na schodach zbiedzonego staruszka. Zapytał go, kim jest. Usłyszał w odpowiedzi: „Nazywam się Przesmycki.” — „Czy Miriam?” — „Tak.” W szpitalu było więcej ludzi orientujących się w literaturze, zajęto się więc starcem szczególnie troskliwie. Nie dowiedziano się jednak, jak dotarł na Żurawię (przynajmniej tak twierdzi dr Kaszyn, który był ordynatorem w owym szpitalu). Chorował kilka tygodni. Umarł już po ewakuacji ludności cywilnej ze Śródmieścia (szpitalom pozwolili Niemcy zostać do końca października). Pochowano go na ulicy przed bramą domu nr 31. — — Dziś tylko drobna część naszej grupy wyjechała, jeszcze mniej pojechało „muzealistów”. Przyczyna w samochodzie: wszyscy razem (grupy bi-



blioteczne, muzealna, zoologiczna, seminaryjna i archiwalna) musimy się mieścić na jednym wozie: przyczepkę zarezerwowano dla robotników pracujących przy Dworcu Zachodnim (w powrotnej drodze przeszło godzinę na nich czekamy).

16 XII. Dziś nasza grupa w ogóle nieczynna. Plany ułożone na Milanówek przekreśla odbywająca się od rana łapanka. (Jest ona jedną z represyj za niestawienie się mieszkańców w ilości dostatecznej do kopania rowów; innymi są: zamknięcie na tydzień sklepów, kuchni RGO i dopływu prądu elektrycznego.)

17 XII. Przejeżdżamy przez plac Saski. Widzimy szczątki rozsadanego (widocznie wczoraj) dynamitem pomnika ks. Józefa. Leżą rozrzucone dokoła cokołu. „Ewakuacja” Warszawy postępuje!

Milanówek 4 I. Przyjechałem z Piaseczna *via* Pyry i Opacz do Pruszkowa, gdzie, jak się okazuje, Magistrat zadatkował już dla mnie pokój. Mieści się on w dość czystym domu na dość porządnej ulicy tego miasta, które bodaj trafnie Julia określiła jako małe Siedlce. Na tymże piętrze mieszka Grycz. Mój pokój jest duży i, jak wnoszę z napomknień gospodyni, Magistrat zamierza mi dać towarzysza. Na razie jednak brak jeszcze urządzeń do mieszkania: jedynym sprzętem jest duży stół (w pokoju był skład archiwaliów czy czegoś podobnego; w każdym razie zajmowały go skrzynie, nie ludzie, co może ma swoją dobrą stronę, bo — skoro nie było ludzi — może nie ma i pluskiew, z których to miasto słynie). Zostawiwszy pod opieką Grycza część bagażu i zjadłszy z nim w miejscowej jadalni skromny obiad za zł 70, jadę na noc pod gościnny zawsze dach Włódków. Przypadkowo jestem jedynym ich gościem, chociaż zapowiedział się na nocleg także prof. Str., którego spotkał bolesny wypadek w rodzinie: aresztowano jego syna! — Trochę się dziś głupiej niż wczoraj czuję z powodu braku przepustki, bo — jak się dowiedziałem — i wczoraj, i dziś wszyscy członkowie naszej grupy byli na rynku pruszkowskim legitymowani przez żandarmię i dwóch z nich, którzy nie mieli zaświadczeń Räumungsstabu (co prawda, znacznie młodszych ode mnie), zatrzymano. Ale nie jechać jutro z tego powodu nie wydaje mi się rzeczą racjonalną: ostatecznie, może być łapanka właśnie nie w Pruszkowie, ale w Milanówku. — — [...] — — W naszej pracy ewakuacyjnej było w ciągu ostatnich dwu tygodni kilka dni przerwy; do Biblioteki Uniwersyteckiej mało było wyjazdów; nic z niej nie wywieziono, pakowano tylko książki do worków; w ostatni dzień przed świętami zamurowano schowek piwniczny, wypełniwszy go do reszty książkami z sali 19 i ze zbioru Banku Polskiego; teraz pakuje się stare druki z Biblioteki Załuskich i Krasieńskich. Dokonano ważnej



zmiany w sposobie przewożenia książek: jest do dyspozycji teraz samochód polski (mający przepustkę dzięki wysokiej opłacie); ma on przewozić książki do Pruszkowa, składać je w barakach sławnego obozu (czyli, w żargonie miejscowym, Dulagu), skąd dopiero, w miarę możliwości, mają być wysyłane koleją dalej; otwiera to możliwość skierowywania pewnej ich części „na lewo”; optymiści w związku z tym snują już szerokie plany utworzenia jakiejś biblioteki na prowincji (np. w Częstochowie); Łodyński gotów by być jej kierownikiem. Bodajże to wszystko zamki na lodzie. — W Warszawie, jak się dowiaduję, więcej teraz ludzi i zniszczenie bardzo się posunęło: wyrywane są kable, wysadzono w powietrze pałac Saski i wszystkie pomniki brązowe: Mickiewicza, Bogusławskiego, Lotnika, Sopera etc. [...]

5 I. Jazda do Warszawy. Lepsze niż przed świętami warunki na samochodzie, bo nieco mniej ludzi. Inni „Begleiterowie”: Räumungsstab zmienia ich teraz ciągle, żeby się „nie przyzwyczajali” do swoich grup. Inny też sposób dojazdu do miejsca pracy: samochód staje na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich; stamtąd wszystkie grupy docierają do swoich punktów już pieszo. Idziemy więc przez Marszałkowską — strasznie w tej części zniszczoną, ale o jezdni w dużej już mierze oczyszczonej; widzimy, jak brygady robotnicze rozkopują resztki barykad, żeby poszerzyć drogę jezdnią, jak oczyszczają szyny tramwajowe, posypując je solą. Mamy stwierdzić, co stało się z mieszkaniem K. Kosińskiego, skręcamy więc w Złotą i Zielną. Jest to jakiś koszmar zniszczenia. Później idziemy Świętokrzyską. Jeden z bibliotekarzy nie może się zorientować, gdzie jest. Drogi przejazdowej na tych ulicach nie ma; są tylko ścieżki, wydeptane i wyrobione wśród gruzów, lejów i barykad. Na Mazowieckiej się zatrzymujemy; Koczorowski i Korzeniewski wyprawiają się do domu, w którym mieszkał Miriam (pod nr 4); stwierdzają, że mieszkanie jest spalone, ale w piwnicy są skrzynie z papierami, wszelako dokładnie zawartości ich zbadać nie można, przywalone są bowiem górami „ciuchów”. — — Do Biblioteki Uniwersyteckiej docieramy późno. Mróz bardzo utrudnia pracę. A słyszymy od Himpla, że Räumungsstab nakazał bardzo się śpieszyć, bo budynek będzie rychło „potrzebny” i nie ma mowy o przedłużeniu terminu ewakuacji poza 20 I. Wielce nas to niepokoi. Niestety, teraz jeszcze dużo cennego czasu się traci, m.i. na biblioteki prywatne. Z Żoliborza np. przewieziono bibliotekę Wierczyńskiego, solidną warsztatowo, ale bynajmniej nie osobliwą; a jakież w czasie potrzebnym dla BUW z tego powodu wyłom. — — Skończywszy pracę, wracamy znowu pieszo na Marszałkowską. Kościół Św. Krzyża już teraz inaczej wygląda: prawą wieżę rozsadzono dynamitem; dzwony spadły na ulicę; brygada robotników acetylenem je odcina i przepiłowuje. Na ul. Traugutta i Kredytowej spotykamy inne brygady pracujące przy gruzach, wyciągające kable spod ziemi. Mimo zniszczenia dużo jeszcze dobytku ocalało: raz po raz trafiamy na ulicach na porcelanę, naczynia kuchenne, kalosze, kołnierzyki, nawet maszyny do szycia itp. Czekamy na samochód w ruinach sklepu Ryczera. Ktoś znajduje całą wiązkę zachowanych cienkich laseczek; po chwili



wszyscy zostajemy nimi obdarowani, co nadaje naszej gromadzie wygląd groteskowo-komiczny. — — Wracamy do Pruszkowa stosunkowo wcześniej. Moje mieszkanie okazuje się jeszcze nie urządzone, wobec czego raz jeszcze jadę do Milanówka. — — [...]

6 I. [...] — — Wcześniej po południu zjawia się u Antoniewiczów Makowiecki i opowiada o dramatycznych ostatnich dniach w Bibliotece Uniwersyteckiej przed świętami (20—22 XII). Chodziło wtedy przede wszystkim o to, aby wyzyskać nieobecność Abba i Himpla i zamurować wypełnioną już książkami piwnicę. Podwiński obiecał dać mularza, ale nie dał; sprowadził więc innego Kotniewicz, właściciel przedsiębiorstwa przewozowego w Pruszkowie. Przygotowania jednak, przede wszystkim znoszenie cegieł z sąsiednich budynków, były mozolne i zabrały dużo czasu. W nocy z 21 na 22 rozegrzmiała silna kanonada. Wtajemniczonych wstrząsnęła straszna myśl: zaczyna się ofensywa sowiecka. Nazajutrz bardzo mało ludzi się zgłosiło. Na dobitkę, spóźnił się samochód, tak że już myślano o pójściu do Warszawy na piechotę. Dzień roboczy był z tego powodu wyjątkowo krótki, a najważniejsze rzeczy były właśnie w tym dniu do wykonania. Trzeba było przede wszystkim przynieść kilka wiader wody. Najbliższe źródło w Prezydium Rady Ministrów. „Begleiter” się dziwi: Po co wam tyle wody? — Ach, chcemy nagotować kawy, żeby się rozgrzać. — Potem trzeba było odwrócić uwagę „Begleitera” od istotnego zużycia tej wody. Poświęcił się Korzeniewski i poszedł z nim na szaber, oszołomiwszy go uprzednio opowieścią o bogactwach piwnicznych sąsiednich domów. Tymczasem zamurowywano piwnicę. Wszystko jednak sprzysięgło się przeciw temu dziełu: samochód przyjechał o 1/2 godz. za wcześnie. Mak. wyszedł z awanturą. Zrobił na szoferze wrażenie i skłonił go do pojechania naprzód po grupę Biblioteki Narodowej na Rakowiecką. Ledwo szofer odjechał, zjawili się kilku oficerów z Festung Warschau: słyszeli, że tu jest duża biblioteka, która ma być spalona; chcieli wziąć z niej trochę książek. Zaprowadzono ich na najwyższe piętro. Tymczasem wrócił „Begleiter”, czerwony od mrozu. Usadzono go przy wódce w ciepłej piwnicy. Makowiecki zabawiał oficerów rozmową. Wtem zaczął się nalot sowiecki. Oficerowie zapragnęli zejść do *Luftschutzraum*. Na szczęście mularz już był właśnie skończył swoją robotę. Nową ścianę zastawiono półkami, zarzucono makulaturą, wyrwano schody, które do niej z parteru prowadziły. Moment był rzeczywiście epicki. — — Pożegnawszy się z Makowieckim, pakuję się i przygotowuję do wyjazdu i zamieszkania w Pruszkowie.

Pruszków 7 I. Mieszkanie zastałem urządzone i opalone. Jeśli mi oszczędzą współlokatora i jeśli pluskwa, którą dziś rano znalazłem na łóżku, okaże się wyjątkiem, a nie regułą, może mi tu być nawet zupełnie wygodnie. Dzięki sąsiedztwu Grycza jestem *au courant* wiadomości i decyzji centralnych. A co dzień coś ważnego się dzieje i coś nowego się postanawia. Wczoraj np. przy Räumungstabie jakiś oficer chciał jedną grupę biblioteczną wziąć do robót okopowych (opierając się na zarządzeniu wojskowym, że wszyscy robotnicy zajęci w Warsza-



wie przy czymkolwiek mają w tych dniach kopać rowy). Ledwo się wybroniono przepustkami Geiblowskimi i tłumaczeniem, że my mamy *Sonderauftrag*. Inna grupa była później w podobny sposób zahaczana przez innego oficera na mieście. I jej dano w końcu spokój, ale powiedziano: „Jutro się wam to nie uda.” — — Wczoraj po raz pierwszy wożono worki z książkami już do Dulagu w Pruszkowie, ale nadzieje z tą zmianą związane okazują się złudne: wszystkie książki z bibliotek publicznych mają stąd iść do Niemiec; „na lewo” mogą być skierowane tylko zbiory prywatne, i to w niewielkiej ilości (tak, „żebym ja tego nie widział” — wyraził się Himpel). — — Dziś naczelnym zadaniem grupy „uniwersyteckiej” było wybranie rękopisów z piwnicy Miriama. Jechaliśmy z uczuciem dużej niepewności, bo przedwczoraj Koczorowski i Korzeniewski zbadali stan rzeczy tylko z grubsza i stwierdzili jedynie, że wśród „ciuchów” piwnicznych zachował się słynny album z rysunkami Norwida i że luźne kartki z niego były porozrzucane, przed niedawnym zaś czasem zjawił się u Grycza jakiś krewniak Miriama i oświadczył, że norwidiana są schowane w trzech miejscach, że tylko on ma o nich dokładną wiadomość i udzieli jej, jeśli się go weźmie z naszą grupą do Warszawy (jeśli nie, „niech zginą te rzeczy!”). Można było przypuszczać, że w informacjach tego szantażysty jest coś z prawdy (acz Grycz interpretował je sobie inaczej: Miriam w ostatnich czasach miał dużo pieniędzy, i to w dolarach i złocie: sprzedał bowiem Samotnię pod Chyliczkami; było rzeczą prawdopodobną, że pieniądze te zostały schowane razem z rękopisami i ów facet chciał się do nich dostać). Okazało się, na szczęście, że można się było bez niego obejść. — Dzień był niezwykły od samego rana. Jechaliśmy (pierwszy raz!) przez Koszykową. Zbliżając się do Marszałkowskiej zobaczyliśmy przed sobą ogromny słup dymu w stronie Alei Ujazdowskich. Coś wysadzono w powietrze. Co? Szpital Ujazdowski? Pomarańczarnię? Pałac w Łazienkach? Prawdopodobnie jeden z tych gmachów. Wyśiadłszy przy Alej. Jerozolimskich, szliśmy pieszo przez ul. Moniuszki. Jest to wielki cmentarz przywalony ruinami, przez które prowadzi wąska ścieżyna. Ma się tu przed sobą obraz zniszczenia, jakie rozsiewały pociski „wielkiej Berty”, która strzelała z Piaseczna i Zalesia. Domy były tu jak gdyby rozłamywane od środka. Zginęła wśród nich biedna Iwankowa. Dużo czasu i wysiłku trzeba, żeby dotrzeć tędy z Marszałkowskiej do Jasnej. Część dalsza ul. Moniuszki — ku placowi Napoleona — jest zupełnie nie do przebycia: wypełniają ją urwiska barykad i wawozy. Skręcamy w Jasną. Przechodzimy koło potrzaskanego i ściętego gmachu PKO. Plac Warecki, zryty bombami, wyolbrzymiał wskutek perspektywy, jaka się otworzyła w przestrzeń w stronę ulicy Wareckiej. — Grupa nasza składała się dzisiaj z 15 ludzi. Przedwczoraj w bramie domu na Mazowieckiej 4 stał posterunek policyjny, dozoruujący robotników rozkopujących gruzy. Toteż dziś szliśmy na podwórze tego domu przez wyłom w ruinach ul. Świętokrzyskiej. Okazało się, że dziś już posterunku nie było, brama stała otworem, a w piwnicach widoczne były ślady gospodarki szabrowników: wiele rzeczy zabrali, inne poprzewracali, cały wygląd piwnic się odmienił. Zapanowała wśród nas kons-



ternacja. Przystąpiono jednak do pracy i powoli zaczęły się odnajdywać rzeczy, o które nam chodziło: naprzód karton Wyspiańskiego do *Iliady*, potem portret Miriama (robiony przez Stabrowskiego?), potem książki i papiery. Łańcuskowo podawano wszystkie te materiały z piwnicy do bramy, gdzieśmy je (Makowiecki, Kossonoga i ja) segregowali. Mieszanina była wielka: książki z biblioteki Tomasza Przesmyckiego (ojca Miriama), notatki i korespondencja Adama Przesmyckiego (bratanka), papiery szkolne pani Hoene-Przesmyckiej, etc. Wśród nich rozprośzone wrońsciana, klisze i plansze do „Chimery”, korespondencja redakcyjna, wreszcie i norwidiana. M.i. ukazał się słynny album i wiele fotografii rysunków Norwidowskich dotąd nie znanych. Praca była ciężka: w zimnie, brudzie, pierzu i piasku. W pewnej chwili wylazł z piwnicy Koczor z granatową teką i patetycznie oświadczył: „Spełniłem już największy swój obowiązek. To jest autograf *Vade-mecum*.” — — Dopiero o 11 1/2 byliśmy w Bibliotece i mogliśmy się rozgrzać przy żelaznym piecyku. Wygłosiłem dla naszych współpracowników 5-minutową pogadankę o Miriamie i Norwidzie. Zjawił się Lorentz. Uprosilimy go, żeby zabrał *Vade-mecum* w swoim samochodzie. Inne materiały zabrał samochód ciężarowy. Upakowaliśmy je i już trzeba było wracać. Szliśmy — pierwszy raz — przez ul. Traugutta i Kredytową. Straszne kikuty rozbitych domów, m.i. Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Fantastycznie potworne jest otwarte wnętrze budynku PKO na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. Dom Gebethnera i Wolffa pozabawiony został całego swojego ogromnego narożnika. — — Na rogu Marszałkowskiej i Alei długo czekaliśmy na auto. Rękopis słownika Krzyżanowskiego, który Kossonoga prznosił, dał asumpt do dużej dyskusji o baroku i romantyzmie. — — Jadę w powrotnej drodze komfortowo, bo Korzeniewski wyszabrował dla mnie składane krzeselko. — — Zjadłszy obiad za zł 60, prowadzę Makowieckiego i Korzeniewskiego do swojego mieszkania na ul. Kościuszki 52 i tu otwieramy tekę z przywiezionym przez Lorentza *Vade-mecum*. Okazuje się jednak, że patos Koczora był przedwczesny: to nie autograf: to tylko zbiór odpisów i wycinków, przygotowany z myślą o tomie B wydania zbiorowego. Ale i to jest ciekawe i cenne. Dowiedzieliśmy się przede wszystkim, jaki jest układ cyklu (odpisałem go sobie), poznaliśmy *Wieś*, stanowiącą wariant ustępu *A Dorio ad Phrygium*, ale jakże odmienny (odpisałem go sobie także)! — Co zrobić z tymi rzeczami? Wysłać do Niemiec? Żal i wstyd. Zachować w kraju? Gdzie? Na razie zostają w moim pokoju!!!

8 I. Z Biblioteki Uniwersyteckiej tylko się dzisiaj wywozi worki poprzednio upakowane. Wobec tego zgłaszam się do udziału w pracy porządkowania zbiorów Miriamowskich przewiezionych wczoraj do Pruszkowa. Idziemy z Makowieckim i Koczorowskim do głośnego Dulagu. Jego baraki okropnie wyglądają i teraz: podłoga cementowa — z otworami potrzebnymi przy reparacji wagonów — zawalona jest odłamkami desek, żelastwem, zniszczonymi narzędziami, zatłuszczonymi słomianymi matami, pełna tłustych smolnych kałuży. Na tym wszystkim siedzieli i leżeli nieszczęśni wygnańcy. W jednym z bocznych pomieszczeń



baraku nr IV, wyjątkowo czystym (widocznie służbowym), składa się teraz worki z książkami z BN i BUW. Tamże złożono worki napełnione wczoraj na Mazowieckiej 4. Improvizujemy stół — ze skrzyń, fragmentu jakiegoś wózka i desek — i we trzech przeglądamy zawartość kilkunastu worków, i dzielimy ją na grupy: książki, korespondencja i inne papiery Miriama i jego rodziny, wrońsciana, materiały do opracowania i wydania Norwida, grafika Norwida, wreszcie autografy Norwidowskie. Albowiem — po dłuższej chwili — zaczynają się i one wyjawiać; powoli ujawniają się prawie wszystkie. Jest m.i. *Kleopatra*, *Aktor*, *Za kulisami*, *Pierścień wielkiej damy*, *Bogarodzica*, *Milczenie*, nowele, różne drobne wiersze, *Assunta*, *A Dorio*, *Emil na Gozdawiu*, przekład *Odysei*, wreszcie i *Vade-mecum*. Z pojawieniem się tego ostatniego doznajemy dreszczu wzruszenia. Na półzartobliwy wniosek Koczora zdejmujemy czapki. Makowiecki powiada, że — w związku z okolicznościami (*Vade-mecum* w baraku w Pruszkowie!) — można użyć słów Norwidowskich o ideale, co sięgnął bruku. Pracujemy długo — od 8-ej do 4-ej pp. — marznąc, z rzadka tylko zbiegając do głównej hali baraku, żeby się rozgrzać przy piecu żołnierzy zatrudnionych w warsztatach. Wdajemy się z tymi żołnierzami w gawędę. Jest wśród nich kilku Rosjan. Dwaj z nich dopytują się o książki rosyjskie. Jeden rad by szczególnie dostać Lermontowa i... Jesienina. Prócz książek i papierów znalazło się w workach sporo plansz z „Chimery”: przeważnie odbitki próbne i egzemplarze wybrakowane. Robimy z nich wybór do zachowania; resztę rozdajemy między współpracowników — po krótkim wykładzie o dziełach i artystach. — Dziwnie jest po tym wszystkim znaleźć się na ulicach Pruszkowa, który zresztą — jak się przekonywam — ma warunki rozrostu w przyzwoite miasto, bo ma i plan niezły, i dużo zieleni, i budynki nie najgorsze. Ale jakież prymityw pod względem kulturalnym, a zwłaszcza... sanitarnym. — Ugadawszy się z towarzyszami pracy, muszę jeszcze prowadzić dość długie rozmowy z domownikami w moim nowym mieszkaniu. Syn moich gospodarstwa jest w obozie pracy. Ich krewniaczka, która sprząta mój pokój, opłakuje swojego syna, który od Powstania nie dał o sobie znaku życia. Wszędzie te same nieszczęścia!

9 I. Na wniosek sprytnego Kotniewicza zastosowano dzisiaj w BUW system pracy akordowej: każdej dwójce wyznaczono 50 worków do zapakowania (wobec pośpiechu — bez uprzedniego wiązania książek w paczki). Pomysł okazuje się doskonały: wszyscy pracują w ostrym tempie, milcząc. O 11 1/2 wszystko skończone (reszta czasu większości schodzi na prywatnych wypadach w poszukiwaniu szabru). — Niestety, zawodzi samochód. Postanawiamy iść pieszo na Dworzec Zachodni. Okazuje się to strasznie męczące i zajmuje przeszło 1 1/2 godziny. Idziemy przez pl. Warecki, Przeskok i Żłotą. Przed KKO piętrzą się resztki wielkiej barykady, do której użyto m.i. segregatorów z aktami. Cała Żłota jest jednym długim cmentarzem: mogiły idą za mogiłami; białe drewniane krzyżyki, przykryte śniegiem, mają czytelne jeszcze napisy, ale już się w wielu miejscach chwieją, w innych ledwo widoczne są wśród gruzów. Jedyną drogą jest wąs-



ka wydeptana ścieżka. Na rogu Sosnowej zieje przepaść największego leja, jaki w Warszawie widziałem. Tu i owdzie domy jeszcze nie spalone. Na Dworcu Zachodnim przechodzimy przez bardzo przykrą rewizję. Żandarmi nie chcą nas wpuścić na peron; ustępują dopiero po interwencji „Begleitera”. Pociąg, którego godzinę ktoś z rzekomo uświadomionych był nam podał, został już skreślony z rozkładu. Czekamy na odejście następnego przeszło godzinę. Z wagonów, do których się dostajemy, chcą nas dwukrotnie wyrzucić (bo to rzekomo „pociąg tylko dla okopiarzy”). Jakoś udaje się nam zostać (ale „już jutro to się nie uda”). Wracam do Pruszkowa okropnie znużony. Sił nie mam iść na obiad.

[Milanówek] 10 I. [...] Wieczór zatruty [...] notatką, którą o naszej pracy zamieszczono w „Biuletynie Informacyjnym” w nrze z 18 grudnia (dostałem go dziś do przeczytania od p. D.). Jest tam m.i. takie zdanie: „W piwnicy Biblioteki Uniwersyteckiej zabezpieczono około 50% zawartości biblioteki (*sic!!!*): *gros* księgozbioru czyteln i wydawnictw polskich towarzystw naukowych i kolekcję podręczników uniwersyteckich.” Redagował więc notatkę jakiś idiota, ale dość wtajemniczony. Idiota tylko czy i zbrodniarz?

[Pruszków] 11 I. W BUW przykry incydent: ktoś z pracowników zamierzał ukraść plansze z reprodukcjami rysunków Rembrandta i przygotował je sobie do wywiezienia. Na szczęście, Korzeniewski wytropił pięknie przyrządzoną paczkę. Nie wymieniając sprawcy, nakazano mu, żeby jutro już się nie zjawił do pracy; w przeciwnym razie cała grupa ma być zwolniona. — Po Warszawie krążą od dzisiaj patrole Wehrmachtu. Jeden z nich spotyka nas, gdy wracamy z Biblioteki, i każe zostawić na miejscu paczki z węglem (który to szaber dotąd był dozwolony); gdy „Begleiter” interweniuje w tej sprawie, komendant patrolu daje mu dość ostrą nauczkę. — Na Wolskiej, blisko kościoła, w naszych oczach wysadzony zostaje w powietrze jeden z na pół zburzonych domów (samochód na chwilę zatrzymano). — W Pruszkowie widzimy oddział Volkssturmu, ćwiczący się w rzucaniu granatami. — S. L. wręcza mi nowy glejt z podpisem Geibla, stwierdzający, że „*Borowy Wacław.... ist...: mit der Bergung von Kunstgütern in Warschau beschäftigt*” i że „*er und seine Familienmitglieder dürfen weder evakuiert noch zum Stellungsbau herangezogen werden*”. Glejt ten ma mieć ważność do 31.3.1945!!! — Geibel znowu rozmawiał z S. L., był z nim nadzwyczajnie „serdeczny” i m.i. „podaował” mu kolumnę Zygmunta! S. L. dodaje jednak, że idiotyzmy w rodzaju notatki „Biuletynu” mogą łatwo doprowadzić do tego, że „wszystko trzaśnie”.

12 I. Znużony, zostaję dziś w Pruszkowie. Pracuję trochę w Dulagu, a potem w swoim pokoju, porządkując norwidiana. Urokiem Pruszkowa, uderzającym po pobycie w Milanówku, jest światło elektryczne ciągłe i pełne. Toteż ciągnie się praca bez przykrości do późna. Na nowo olśniewają mię pewne utwory, których autografy przeglądam. Jakże wstrząsające jest np. pierwsze zdanie rozprawki o znicestwieniu i zmartwychwstaniu narodu. Albo *Śmierć z Vade-mecum!* —



Co za szczęście móc się w te rzeczy zagłębić przy huku niedalekich armat. A jest tego huku dziś dosyć. Wczoraj, jak słyhać, silnie był ostrzeliwany Wilanów; są liczne ofiary.

13 I. Dziś jedzie do BUW tylko niewielki zespół, głównie dla ładowania na samochód worków już uprzednio przygotowanych.

15 I. Postanawiam zostać na cały dzień w Pruszkowie. Okazuje się zresztą, że nikt z naszej grupy dziś nie pojechał. Przyczyna w samochodzie. Sympatyczny „Japs”, jak się dowiadujemy, szabrował wczoraj w Warszawie drzewo. Został przez Niemców zaaresztowany i dlatego po nas nie przybył. Z tegoż powodu nie mógł zjawić się i dzisiaj. — Postanowiliśmy z Jerzym Sienkiewiczem zająć się dziś przejrzeniem grafiki Norwidowskiej w zbiorach Miriama i wyborem rzeczy, które by niezwłocznie należało reprodukować bądź fotograficznie, bądź fotokopiecznie. — [...] Grycz opowiada o naradzie kierowników grup naszych. W czasie zebrania widzieli przez okno, jak nasi komisarze maszerowali w szeregach Volkssturmu: Abb — radosny, Himpel — posępny i zgnębiony (nb. Himpel opowiadał w tych dniach Korzeniewskiemu, że Niemcy w listopadzie czy grudniu spalili pałac Łazienkowski!). — — [...] — Pracuję do północy, kończąc powierzchowną segregację norwidianów ze zbioru Miriama.

Zalesie 16 I. Skończył się nie tylko okres pruszkowski, ale coś większego! Coś nowego się zaczyna! Ale ani mi to do głowy przychodziło jeszcze dzisiaj rano. Stawiłem się, jak zwykle, o 7-ej na placu zbiórki. Grupy nasze zebrały się mniej więcej w komplecie. Grupa muzealna dostała nawet już rozkaz jazdy, gdy zjawił się S. L. i oznajmił, że dziś nikt nie pojedzie, i polecił tylko wyznaczyć „ekipę” do stróżowania w Dulagu. Niebawem wyszło na jaw, że Räumungsstab w nocy wyniósł się z Warszawy, a ewakuacyjni komisarze niemieccy (Abb, Schellenberg, Fitz etc.) również w ciągu nocy opuścili Pruszków. S. L. dowiedział się o tym od znajomego Niemca, spotkanego przypadkiem w pokoju śniadaniowym na ul. Kraszewskiego (przy kawiarni, w której grupa nasza się gromadziła). Przyczyny? Ofensywa sowiecka ruszyła gwałtownie — i to nie tylko na południu,



od Baranowa, ale i w pobliżu Warszawy. W ciągu nocy, jakieśmy usłyszeli — zdobyty został Grójec i przekroczona Wisła pod Jabłonną. — Po ogólnym pożegnaniu na placu zbiórki odbyliśmy w kilka osób (S. L., Łodyński, Grycz, Podwiński, Antoniewicz, Borowy) naradę nad sytuacją — w kawiarence p. Żarskiej. Postanowiono permanencję straży w Dulagu, przewiezienie norwidianów w bezpieczne miejsce (co za szczęście, że w nocy skończył ich porządkowanie!) i jak najrychlejszy wyjazd pracowników zamiejskowych. Ponieważ właśnie dzisiaj miał wracać do domu w okolice Piaseczna inwalida Morawiński, myślałem, że uda mi się z nim zabrać. Rychło się jednak okazało, że o dostaniu dzisiaj furmanki mowy nie ma i tylko nogom własnym można zaufać. Trzeba było jednak naprzód załatwić sprawy miejscowe: pójść do Dulagu i wydać dyspozycje co do przeniesienia worków Miriamowskich, wrócić do mieszkania i owinąć pudła z grafiką i autografami Norwida w papier i sznurki, upakować wreszcie swoje manatki. [...]